

Elektrownie wodne przekleństwem Gruzinów

19 grudnia 2015

Wywłaszczenia, wysiedlenia, zniszczony ekosystem – oto skutki działalności koncernów energetycznych, stawiających kolejne elektrownie wodne w Gruzji. Na dodatek rząd pozwala inwestorom wyprowadzać zyski bez płacenia podatków.

Rabunkowa działalność wytwórni prądu staje się coraz poważniejszym problemem społecznym i ekologicznym w Gruzji. Uruchomiona w 2014 roku elektrownia wodna u zbiegu rzek Parawani i Mktwari wyrządziła poważne szkody środowisku naturalnemu, nie generując zarazem praktycznie żadnych zysków dla lokalnej społeczności ani budżetu państwa. Dlaczego? Ponieważ inwestor – firma Georgian Urban Energy, należąca do tureckiego giganta Anadolu jest zwolniona z jakichkolwiek zobowiązań fiskalnych. „Prowadzą złoty biznes. Płacą tylko podatek od nieruchomości, żadnego podatku od dochodu. Stawka nałożona na eksport prądu wynosi zero” – wylicza Dato Czipaszwili z organizacji Green Alternative.

Podobne prezenty Gruzja funduje inwestorom od czasu „Rewolucji Róż” w 2003 roku, w wyniku której władzę przejęła prozachodnia i wolnorynkowa opozycja. Od 12 lat kaukaski kraj jest laboratorium eksperymentów prowadzonych według zaleceń Międzynarodowego Funduszu Walutowego. Zwolnienia inwestorów z płacenia podatków to jeden z filarów wdrażanego planu rozwojowego. W efekcie niemal cały prąd generowany przez elektrownie jest eksportowany do Turcji, gdzie ceny energii są znacznie wyższe. Transfer ten nie jest oczywiście opodatkowany, podobnie jak zyski generowane przez spółkę, która płaci jedynie symboliczny podatek od nieruchomości. Inwestor był co prawda zobligowany do zatrudnienia gruzińskich pracowników podczas realizacji projektu, jednak w rzeczywistości na 519 osób zatrudnionych w trakcie budowy,

tylko 19 było miejscowych.

Największe są jednak straty środowiskowe. „Poziom rzeki Parawani spadł o 90 proc. Pozostałe 10 proc. to stanowczo za mało, by utrzymał się ekosystem. Słupy sieci energetycznej przecinają szlaki migracyjne ptaków” – alarmuje Dato Czipaszwili, którego organizacja próbowała zablokować inwestycję, współfinansowaną z Europejskiego Banku Odbudowy i Rozwoju. „Zaskarżyliśmy ten projekt budowy pod koniec 2011 r. EBOiR przyznał, że nie ma całej dokumentacji w języku angielskim, lecz tylko najważniejsze – ich zdaniem – fragmenty umowy” – tłumaczy Czipaszwili. „Po dwóch latach przyznali, że poziom wody w rzece Parawani jest za niski, że istnieje zagrożenie dla migracji ptaków. Ryzyko powodzi miało być wyjaśnione w późniejszych konsultacjach” – dodaje.

Ostatecznie lokalna społeczność nigdy nie została zapytana o zdanie. Co ciekawe, przedstawiciele gruzińskiego rządu wciąż utrzymują, że ich kraj na budowie feralnej elektrowni zyskał. – Czasami trzeba poświęcić coś dla rozwoju kraju. Niektórzy idą na wojnę, a czasami ktoś w Tbilisi czy wsi, w której ma powstać elektrownia, musi coś poświęcić – mówi minister energetyki Ilia Eloszwili.

Niebawem gruzińskie społeczeństwo czeka kolejne niebezpieczeństwo, związane z inwestycją w bogactwo energetyczne lokalnych rzek. Rząd planuje zatopienie wsi Chudoni na górzystym północnym zachodzie kraju. Wszystko wskazuje na to, że tym razem Gruzini stawiają zorganizowany opór, gdyż obraz katastrofy w Parawani działa mobilizująco na górali, obawiających się nie tylko dewastacji przyrody, ale również wywłaszczeń, prowadzonych przez rząd, który zamierza przekazać ziemię o powiechrzni 1,5 tys. hektarów rumuńskiemu koncernowi Trans Elektrica.

Autorstwo: PN

Źródło: Strajk.eu